Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. **Kraków, dnia 12. Września 1909 r.** **Nr. 37.**



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do Administracyi „Roli“ w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny L. 8. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

O traktat handlowy z Rumunią.

II.

W poprzednim numerze *Roli*, pisaliśmy o tem; jakie szkody przynieść może rolnikom traktat z Rumunią i jakich sposobów trzeba nam użyć, by się od tych szkód uchronić, lub zmniejszyć przynajmniej.

Wskazaliśmy, że przed zawarciem tego traktatu z Rumunią nic nas nie uratuje, że traktat ten wejdzie w życie nawet wbrew naszej woli i że dla tego najmądrzej jest nie sprzeciwiać się stanowczo temu, co i tak być musi, tylko robić gwałt o to, by w zamian za zatwierdzenie traktatu jak największe korzyści dla rolników na rządzie wytargować.

Wskazaliśmy też, że złą jest polityka, jaką nasi posłowie w Wiedniu w tej sprawie prowadzili. Jedni bowiem posłowie t. j. wszechpolacy i ks. Stojałowski zgodzili się na ten traktat tak odrazu i ochotnie, jakby to żadnej naszemu krajowi rolniczemu przynieść nie mogło szkody, i przez to rząd widząc tą ochotną zgodę może sobie myśleć, że polskim rolnikom nie trzeba w zamian żadnych ustępstw.

Drudzy znowu posłowie t. j. ludowcy zajęli odrazu tak gwałtownie nieprzejednane wobec traktatu stanowisko, że rząd musi sobie myśleć, że z nimi nie ma co gadać, i nie ma co jakichkolwiek dalszych ustępstw dla naszych rolników dawać, bo się i tak posłów ludowców nieprzejedna.

Wszechpolacy zgodzili się na traktat odrazu i bezwarunkowo. Ale! Prawda! Nie całkiem bezwarunkowo. Gdy bowiem tylko przeczytali treść zawartego z Rumunią układu, i wyczytali tam, że mięso rumuńskie ma być dopuszczane do Wiednia, Pragi i jeszcze 11 innych miast austryackich, i że między temi miastami niema ani jednego z naszych miast, gdy wyczytali że do Galicyi t. j. do Lwowa i Krakowa ani jeden kilogram mięsa rumuńskiego nie ma być dopuszczonym, tak oburzyli się wtedy

bardzo, zaczęli przeciw temu protestować. Naczelnik wszechpolaków, poseł i prezes Koła polskiego Dr. Głąbiński, poszedł zaraz do rządu i zaczął się okrutnie odgrażać, że Galicya jest w traktacie pominiętą i że Koło polskie nigdy się na takie pomijanie naszego kraju i lekceważenie go nie zgodzi.

Panowie od rządu usłyszawszy to, nie mogli się jakoś połapać o co dr. Głąbińskiemu chodzi i zapytali w czem widzi to pominięcie i lekceważenie Galicyi.

Jakto w czem? — odpowiedział dr. Głąbiński — to do Wiednia, Pragi i t. p. ma być dopuszczone rumuńskie mięso, a do Lwowa i Krakowa nie.

Czy to nie krzywda, czy to nie pominięcie? Panowie od rządu usłyszawszy to, aż oczy wybałuszyli ze zdumienia. I nie wiedzieli czy się śmiać, czy płakać.

Oni przecie prowadząc układy z Rumunami w Bukareszcie o dopuszczenie mięsa rumuńskiego, wiedzieli dobrze, że Galicya jako kraj rolniczy, będzie tem najwięcej skrzywdzona.

Wiedzieli że nie łatwo im przyjdzie skłonić Koło polskie, jako reprezentacyę rolniczego kraju, do zgodzenia się na ten traktat. Chcąc więc uczynić traktat możliwym do przyjęcia dla Polaków, sami wytargowali na Rumunach, by ci zrzekli się posyłania mięsa do Lwowa i Krakowa, aby rolnicy galicyjscy przynajmniej we własnym kraju nie mieli szkodliwej dla nich obcego mięsa konkurencyi.

A tu prezes Koła polskiego przychodzi z wymówkami i nazywa to pominięciem Galicyi.

Tłumiąc więc śmiech odpowiedzieli dr. Głąbińskiemu, że jeżeli Koło polskie na seryo postawi żądanie by i do Lwowa oraz Krakowa rumuńskie mięso było dopuszczonem, to w Bukareszcie z pewnością ochotnie się zgodzą na tę zmianę.

Ale dr. Głąbiński zastanowił się przecie i zawstydził, i o ile wiemy, już wszechpolacy tego żądania więcej nie podnoszą.

Zgodzili się potem na traktat odrazu i bardzo ochotnie i rozwinęli nawet za tym traktatem bardzo gwałtowną agitacyę.

Lecz dlaczego się tak odrazu zgodzili, dlaczego tak za tym traktatem gardłują, mimo że to rolnikom i Galicyi jako wybitnie rolniczemu krajowi nie małą może przynieść szkodę?

Bo ci posłowie wszechpolacy, to wszystko urzędnicy, t. j. tacy, co żyją z pensyi stałych, jakie na 1-go każdego miesiąca pobierają.

Głąbiński jest profesorem i pobiera stałą pensyę co pierwszego, German, to emerytowany inspektor szkolny. Co pierwszego pensyę pobiera.

Tak samo Zamorski, Ptaś, Bataglia, Buzek, Tomaszewski i inni, jak oni się tam nazywają. A to że między nimi siedzi kilku zbałamuconych chłopów, jak Maślanka, Fidler, Wiącek, to niczego nie dowodzi. W większości olbrzymiej są urzędnicy i kierują wszystkiem w stronnictwie urzędnicy, a zbałamuceni chłopi idą jak cielęta za swym rzeźnikiem.

Otóż nieraz urzędnik, któremu zawsze, czy w kraju bieda czy nie, pensyę na pierwszego wypłacą, nie ma takiego czucia, co kraj, co ludność może boleć. Żeby w kraju największa nawet była nędza i rolnik nie miał z czego płacić podatków, to przyjdzie egzekutor, zafantuje rolnikowi co się da, no i urzędnicy zawsze pensyę na pierwszego dostaną.

A przy tem urzędnicy siedzą w miastach, mięso codzień jedzą, więc im musi o to chodzić, by to mięso było tańszem, a że tam rolnik na tem straci, to urzędnikowi już wytłomaczą.

W dodatku urzędnicy są od rządu zależnymi. Nie dlatego że biorą pensyę, bo pensyi nie wstrzymałby rząd takiemu, coby się rządowi jako poseł sprzeciwiał. Ale są zależni głównie dlatego, że od rządu zależy awans urzędnika. Rząd decyduje o tem, czy sędzia ma zostać radcą, a zatem dostawać wyższą niż dotąd pensyę, czy nie.

Dlatego więc urzędnik nie może sprzeciwiać się rządowi, bo mógłby go pominąć przy awansie.

Otóż tu zeszło się to wszystko. Rząd chce traktatu. Więc urzędnicy posłowie także go muszą chcieć. A chcą go tem ochotniej, że biedę rolników mało rozumieją, a sami na tem jeszcze skorzystają, bo trochę taniej będą mogli kupować mięso.

Na nieszczęście nas rolników, trafiło się, że urzędników jest w Kole polskiem bardzo dużo.

Urzędnicy bowiem najbardziej się pchają na posłów. Dla rolnika, inżyniera, lekarza, adwokata, jest posłowanie uszczerbkiem. Zostawszy posłem, rolnik zaniedbuje swoje gospodarstwo, lekarz, inżynier zaniedbuje swój zawód i maleją mu dochody.

Tylko jeden urzędnik zarabia na posłowaniu. Zostawszy bowiem posłem, jedzie sobie bez urlopu do Wiednia, urzędu swego nie pełni, a i tak pensyę na pierwszego pobiera.

Pobiera nawet więcej niż na urzędzie, bo do pensyi przybywają mu jeszcze codzienne dziesiątki i bilet jazdy koleją.

Dla rolnika, lekarza, inżyniera są te dziesiątki poselskie małem i niedostatecznem wynagrodzeniem strat, jakie przez zaniedbanie swego zawodu ponoszą. Dla urzędnika jest dziesiątka czystym zyskiem, dodatkiem do pensyi, a prócz tego ma każdy urzędnik poseł nadzieję, że jak się będzie rządowi dobrze wysługiwał, to pojechawszy sędzią, wróci radcą lub prezydentem a i przy następnych wyborach rząd go poprze jako dobrego swego usłużnika; więc i wyższą pensyę i dziesiątki mieć będzie.

Nieszczęściem jest dla nas rolników, żeśmy tylu urzędników wybrali na posłów.

Źle było z pewnością wybierać na posłów ludzi ciemnych i głupich jak Paduch i inni w tym rodzaju. Ale niedobrze było wybierać tylu urzędników, choć oświeconych i mądrych nawet, bo na złe swej nauki używają.

Nie mówimy żeby żadnego urzędnika nigdy nie wybrać. Są urzędy na których nie można awansować np. profesora uniwersytetu.

Profesor więc nie będzie tak od rządu zależnym. Ale źle by było, gdyby i profesorów było za dużo, a cóż dopiero innych urzędników. A tu teraz między naszymi posłami w Wiedniu jest tych urzędników ogromnie dużo.

I właśnie dlatego że ich dużo, nie dba nasze Koło polskie w większości swej o nasze rolnicze interesa.

Wszechpolacy, to prawie wszystko urzędnicy, i dlatego taką wobec traktatu z Rumunią prowadzą politykę. A przytem przywódcy ich t. j. Głąbiński, German, Buzek, Bataglia, Gold, Gall, są posłami z miast, więc chcieliby się swoim wyborcom przypodobać i zapewnić im tańsze mięso, choćby ze szkodą rolników. A że dybią istotnie dla pozyskania

sobie miejskich wyborców na szkodę rolników, na to są przecie dowody.

Wszak to nie tak dawno, bo zaledwie dwa lata upłynęło od chwili, gdy p. Głąbiński postawił w sejmie w dniu 29 marca r. 1907 ów wiekopomny wniosek, by mieszczanie płacili dodatek o 3% mniejszy, a rolnicy o 3% większy.

Wniosek ów i mowę Głąbińskiego może każdy przeczytać w protokołach stenograficznych Sejmu. Jest więc dowód czarno na białem i innych już chyba szukać nie potrzeba, choćby ich tam nie trudno było znaleść!

Szkodliwą więc dla naszych rolniczych interesów jest polityka wszechpolaków, szkodliwem ich natychmiastowe i tak ochotne zgodzenie się na traktat, i ta agitacya za pomocą której wyłudzają nawet od obałamuconych rolników oświadczenia się za traktatem.

Wprost przeciwne stanowisko zajęli wobec traktatu ludowcy. Ci znowu oświadczyli odrazu, że nigdy i pod żadnym warunkiem na traktat się nie zgodzą i rozpoczęli gwałtowną agitacyę przeciw traktatowi wmawiając w ludność, że byle wpłynęło dużo protestów i petycyi, to już oni do wprowadzenia traktatu nigdy nie dopuszczą.

To stanowisko, ta polityka złą jest również i dla stanowiska Polaków w Austryi wielce szkodliwą. Traktat bowiem potrzebny jest i konieczny także dla ugruntowania siły mocarstwowej Austryi, jak to wyżej pisaliśmy.

My zaś Polacy nie możemy o tem zapominać, że z wszystkich 3 mocarstw rozbiorowych w jednej Austryi nie prześladują nas, nie demoralizują, nie gnębią i nie wywłaszczają, że tylko w jednej Austryi możemy narodowo swobodnie się rozwijać, że tylko tu możemy mieć ochronę naszej wiary i naszego języka.

O potęgę więc i siłę Austryi dbać musimy w swoim własnym interesie. I dbaliśmy o nią zawsze, nie odmawialiśmy nigdy Austryi niczego, co dla pomnożenia i utrzymania jej potęgi było koniecznem. O tem wiedziały zawsze wszystkie rządy, o tem wie dobrze cesarz, wie że w trudnych chwilach na Polaków liczyć może zawsze i na nich się oprzeć gdy o siłę Austryi chodzi.

Z tego stanowiska my ani na chwilę schodzić nie możemy, bobyśmy ryzykowali swą własną przyszłość i osłabili nasze stanowisko u cesarza.

O tem zaś zapominać się zdają ludowcy. I wmawiają przytem w ludność, że można do wejścia w życie traktatu nie dopuścić. A to jest nieprawdą, jak to już w poprzednim artykule wykazaliśmy.

Ale dla czego tak robią ludowcy? P. Stapiński jest zbyt wytrawnym politykiem, by o tem wszystkiem nie wiedział i tego nie rozumiał.

Dla czego więc wszczyna znowu bezcelową agitacyę? Dla czego schodzi znowu z tego stanowiska twórczej pracy społecznej, na które zawrócił swoje stronnictwo przed półtora rokiem?

Dla nas jasnem jest, dla czego to czyni. Popchnięty do tego został przez wszechpolaków.

Wszechpolacy robią z jednej strony wszystko, by ludowców z Koła polskiego wygryźć, z drugiej znów strony rozwinęli w całym kraju gwałtowną przeciw ludowcom agitacyę, by ich i u dołu osłabić. Pchają ich do wystąpienia z Koła polskiego i pchają ich nazad w dawną awanturniczą i krzykacką politykę, by ich i w Wiedniu i w kraju skompromitować, osłabić, a potem zniszczyć.

I Stapiński bojąc się osłabienia u dołu, bojąc się, by mu wszechpolacy wpływu na lud nie odebrali, idzie na lep wszechpolakom i wraca znów do dawnych agitacyjnych dróg, zaczyna wiecować i agitować przeciw traktatowi z Rumunią, i za czteroogoniastem prawem wyborczem do Sejmu, choć wie, że ani traktatu nie utrąci, ani czteroogoniastego głosowania do Sejmu nigdy nie przeprowadzi.

Jałowa więc to agitacya, i pożałowania godną jest rola tych, co ku mierze wszechpolaków znowu w dawne popadają błędy.

Wobec traktatu z Rumunią, inna nam Polakom przystoi polityka. Ani zgodność i gardłowanie za traktatem, jak to czynią wszechpolacy, ani nieprzejednaność ludowców nie jest użyteczną polityką.

Nam trzeba wyraźnie powiedzieć rządowi, że traktat uważamy za niebezpieczny dla rolników, że jednak dbając o potęgę Austryi, gotowi jesteśmy za zatwierdzeniem go głosować, pod tym jednak tylko warunkiem, że rząd wprowadzi w zamian takie urządzenia, przyzna takie ustępstwa, które by rolnikom szkodę, jaką przez te traktaty poniosą, w zupełności wynagrodziły.

Niech więc rząd da więcej pieniędzy na organizacyę sprzedaży bydła, oraz na organizacyę sprzedaży świń i niech prócz tego poczyni rolnikom jakieś znaczniejsze ustępstwa podatkowe, np. ulgi w podatku gruntowym.

Niech więc nasi posłowie przestudyują dobrze projekt tego centralnego zakładu sprzedaży bydła, by wiedzieli, jakich zmian w projekcie żądać należy, niech rozważą, jakie inne ulgi możnaby wytargować na rządzie i niech zgodnie między sobą przystąpią z rządem do układów.

To jest jedyna droga, by i rolników naszych od szkód zasłonić i interesów naszych narodowych na szkodę nie narazić.

Kilka słów w ważnej sprawie.

O pastwiska gminne.

Oprócz zwykłego rozdrobienia gruntów jedną z największych bolączek naszego rolnictwa jest marnowanie ogromnych obszarów pastwisk gminnych, które zaniedbane w straszny sposób, pokryte bowiem całe kretowiskami, zarośnięte mchem, pełne różnorodnych dróg i dołów piasko-glino-dajnych, nie przynoszą pożytku. Bydło na nich nie ma co jeść, tylko przechadza się i goni głodne; ledwie gdzieniegdzie w nadrzecznych okolicach gęsi trochę trawy uskubią lub świnie mają miejsce do rycia.

Pastwiska wspólne wynoszą w Galicyi 61.728 morgów. Stanowi to około 10% własności chłopskiej, czyli że na 100 morgów gruntów przypada 10 morgów pastwiska, a w niektórych powiatach jak naprzykład w tutejszym, t. j. w tarnobrzeskim, ilość ta dochodzi do 24 na 100 morgów własności włościańskiej. I wszystkie te grunta leżą odłogiem, gdy uprawione dałyby 10-cio albo 20-sto krotny pożytek. Skarżymy się na biedę, na brak chleba, którego idziemy szukać poza granicami kraju, a pozwalamy tym wielkim obszarom się marnować.

Jednym z najważniejszych kroków naprzód, byłoby lepsze zużytkowanie pastwisk wspólnych przez podział, o który jednak przy obecnej ustawie trudno, albowiem chociaż w każdej gminie znalazłaby się połowa chętnych, to druga połowa powiedziawszy sobie: „jak było za ojca, tak niech będzie i za syna“ — nie dopuści do tego. — I co tu począć? — Myślę, że tej wielkiej bolączki, tego strasznego wroga rolnictwa, nie powinno się dalej tolerować, ale jak raka usuwa się radykalnie za pomocą operacyi, a choremu dziecku gwałtem zadaje się gorzkie lekarstwo, tak i tu drogą ustawodawczą powinno się podział narzucić.

Te krótkie uwagi, a raczej moje szczere wyznanie w sprawie pastwiskowej, nie wyczerpują bynajmniej tematu. Ale gdyby każdy, co potrzebę reformy uznaje, dorzucił swoje pomysły, byłoby to wielce pomocnem do dodatniej działalności.

Jan Kaczak
chłop z Kaczaków.

Od Redakcyi. W ważnej tej sprawie zapraszamy czytelników naszych do wypowiedzenia swoich uwag. A skoro się znajdzie więcej takich głosów, postaramy się przez posłów, aby tą sprawą zajął się Sejm.

Co słychać w Polsce?

Hakata ma apetyt.

Usłużny i szczególnie skory do wyświadczania usług hakacie, b. kanclerz, książę Bülow, rzucił jej już w paszczę prawa osadnicze, kolonizacyę, wywłaszczenie, a z niemi razem dał jej krwawo przez lud niemiecki zapracowane miliony na pożarcie. Ona jednak wiecznie głodna, wiecznie żarłoczna. Domaga się nowych przysmaków w postaci prawa prasowego i ograniczenia prawa parcelacyi dla Polaków. Wie bowiem, że wraz z przeprowadzeniem takich praw, skapłyby jej nowe talarki do kieszeni. Nie mówi jednak tego głośno. Nie może przecież pokazywać, że patryotyzm jej zależny jest od tłustego omaszczenia go złotem przez rząd.

Hakatyści robią ogromnie zatrwożone miny, udają lęk niebywały i wrzeszczą na całe gardło: „Patrzcie, Polacy nas dławią coraz okrutniej. Kto naród i kraj swój kocha, niech staje w nasze szeregi i pomoże nam odeprzeć napór polski. Tego wymaga poczucie i godność niemiecka. My walczymy, mając głęboki patryotyzm w sercach“. I społeczeństwo pruskie wierzy im, głosem pełnym podziwu woła: „Jak oni swą narodowość kochają; trzeba koniecznie dopomódz, zanim ci ohydni Polacy ich udławią!“

Powiedzieliśmy już wyżej, że hakatyści domagają się prawa przeciw prasie polskiej i prawa ograniczenia parcelacyi polskiej. Dnia 4 września odbyły się w Katowicach „dni niemieckie“, na które zjechali się hakatyści. Głównym przedmiotem obrad było domaganie się, ażeby rząd wypracował projekt do prawa, iżby polskim pismom wolno było wychodzić tylko w dwóch językach, to znaczy, że treść artykułów i wiadomości ma być podana obok polskiego także w niemieckim języku. Takie prawo niemożliwe nie jest, tem więcej, iż Bethmann-Hollweg, dzisiejszy kanclerz, to uczeń pojętny księcia Bülowa, strasznego wroga naszego. Każdy wystawić sobie może, jak bardzo by takie prawo uniemożliwiło rozwój prasy polskiej. Każda gazeta wychodziłaby w podwójnej objętości, wskutek czego podrożyłaby się przynajmniej o jeszcze raz dzisiejszych kosztów, tem więcej, że redakcye pomnożyć by musiały swój personal.

Z innym projektem wyjeżdża filia hakatystyczna w Gdańsku. Żąda ona co następuje:

„Po ustawie o wywłaszczeniu ustały wygórowane ceny na ziemię i obniżyły się. Ta ustawa jednak nie wystarcza, aby „własność niemiecką uchronić od zaborczości polskiej“. Jeżeli wkrótce nie zostanie uchwalona ustawa, ograniczająca Polakom prawo parcelacyi, ażeby zniweczyć działalność banków polskich, to nie jest dalekim czas, że w wielu powiatach kresów wschodnich należeć będzie do przeszłości“.

„Spółki niemieckie w Prusach zachodnich znajdują się w powijakach i zaledwie zaczęły powstawać. W Kościerzynie, Tucholi, Brodnicy działalność ich przyniosła pewne owoce. I jeżeli stosunki składają się dobrze, jeżeli znajdą się odpowiednie osobistości(!) do założenia i kierowania takich spółek, natenczas należałoby z odwagą i ufnością akcyę rozpocząć... Dąży się wszakże oddawna do uzyskania wsparcia państwowego dla takich spółek i sprawa ta niezadługo będzie ustawodawczo uregulowana...“

A zatem, żądają wsparcia rządowego, z pomocą którego chcą niweczyć działalność polskiego społeczeństwa. Piękne to „kulturalne“ cele hakatystów. Zobaczymy, co powie rząd pruski na ten wilczy apetyt hakaty?!

Jak Duńczycy wydobyli się z biedy?

I. Kraj i rola Duńczyków.

Na północ od Niemiec morze otacza z trzech stron półwysep Jutlandyę; na nim i na sąsiednich wyspach większych i mniejszych zamieszkuje oddawna naród, który się nazywa Duńczykami. Mieszkańcy tego kraju przeważnie zajmują się rolnictwem.

Nie wydobywają tu ani złota ani srebra, ani węgla kamiennego z ziemi; nie znajdziesz tu ani jednego dobrego kawałeczka czarnoziemiu, wszędzie widać albo ogromne pustynie piasku, lub wapniste grunta, pokryte kamieniami, lub wreszcie nad morzem Północnem, na setki kilometrów się ciągną takie ławice piasku, że wiatr niemi przerzuca, jak falami na morzu. Nigdzie tu nie obaczy tej dobrej ziemi, zwłaszcza tej, co rodzi pszenicę. Ale chociaż mamy ziemię lepszą i więcej niż Duńczycy, jednak nam się i nie śnił nawet taki dobrobyt, jakim się cieszy obecnie w Danii wiejski gospodarz.

Dania to kraj niewielki: mieszka w nim dwa i pół miliona Duńczyków. Ziemia tu, jak i w innych krajach, nie jednakowo podzielona między ludźmi; takich gospodarzy, którzy mają tylko domek i niewielki kawałeczek gruntu naliczają w Danii 50 tysięcy; takich, którzy mają od 8 do 10 morgów,

liczą 150 tysięcy; a tych, którzy mają więcej 77 tysięcy; wielkich majątków niema.

Przyjrzymy się, jak tam oni gospodarują.

Niedaleko od miasta Argosa mieszka gospodarz Madsen. Lat 40 temu, jeszcze w młodości, kupił on sobie przeszło 200 morgów samej pustyni. Jaka to była ziemia, widać z tego, że kupił on ją po 100 koron za mórg, gdy wszędzie w Danii mórg ziemi polnej kosztuje prawie 1.500 kor. Prócz gruntu miał Madsen jeszcze jedną starą szkapę, jedną krowę i parę owiec, oto i cała gospodarka. Żadnego budynku nie było na tej sadybie, tylko 7 morgów można było uprawiać, reszta zaś była zupełnie nieużyteczna. Madsen pracował z całych sił, czytał dużo książek i po nich dochodził, jak można z pustyni zrobić dobrą urodzajną ziemię. I oto po 40 latach ma 3 konie, na oborze stoi 32 sztuk bydła, ma 20 owiec, a sam mieszka w ładnym murowanym budynku; obora i stajnia też są murowane; cały grunt obsadził drzewami, żywopłotem, żeby go piasek nie zasypywał. Przeszło 100 mórg niesie mu dobry urodzaj.

Drugi przykład: w innej już okolicy Danii, mieszka gospodarz Trowelsen. Lat 30 temu kupił on 100 morgów po 200 koron za mórg; pieniędzy więcej nie miał, otóż aby dać sobie radę z tą ziemią i ulepszyć ją, on własnemi rękami wraz z rodziną swoją ulepszył marglem (biaława glina) 40 morgów — znalazł go na własnym polu, na półtora sążnia wgłąb. Miał też i kawałek łąki, ale takiej, która mu dawała tylko 6 wozów siana. Zaczął więc ją ulepszać, polewając rzadkim gnojem i teraz zamiast 6 wozów, zbiera po 20 wozów siana. Popracował Trowelsen w ten sposób, nie składając rąk, 30 lat, a teraz już ma 90 morgów dobrego, urodzajnego pola, 3 morgi sadu, 16 sztuk bydła, 12 owiec, 4 świnie i parę koni. Cały budynek wymurował z cegły, którą też sam wypalił, i teraz, chociaż narazie ziemię miał bardzo niedobrą, żyje w dobrobycie, a dzieciom swoim zostawi nietylko dobre gospodarstwo, ale też i dobrą naukę, jakim mianowicie sposobem mogą oni i resztę złej ziemi zamienić w rodzącą.

Dawniej, kiedy ludzi było w Danii mniej, wystarczało też wszystkim i chleba, co się rodził w niektórych okolicach z lepszą ziemią; wówczas Duńczycy niebardzo dbali o złe grunta. Ale w r. 1864 Niemcy podczas wojny im odebrali najlepszy kawałek ziemi — Szlezwik i Holsztyn, a Duńczykom pozostawały tylko same grunta piaskowate i wapniste. Chociaż to bardzo bolało Duńczyków, nie było innej rady: trzeba było pracować na tem, co pozostało. Musieli więc wynagrodzić sobie stratę tem aby nieużytki zamienić na urodzajne pola. Tak też i zrobili. Jak zaś to robią, widzieliśmy z opisanych przykładów.

Rolnicy duńscy łączą się.

Zapewne, żeby takie piaski zamienić na urodzajną ziemię, trzeba nie byle jakiej pracy! Jeden, czy drugi, czy dziesiąty potrafią to zrobić. Ale ilużby się u nas znalazło takich, co i połowyby tego nie zrobili opuściwszy bezradnie ręce!

Duńczycy uniknęli tego dzięki swej pewnej zalecie, a mianowicie, że słuchają oni rozumnej rady tych, którzy im rzeczywiście dobra życzą, i że chętnie się łączą w towarzystwa, spółki, by razem pracować i mieć z tego wielką korzyść. Gdyby nie ta ich zaleta, to napewno wszystkie te piaski i dotychczasby były niezdatne do uprawy, jak i nasze piaski i moczary. Lat więcej niż 40 temu większość Duńczyków uważała jutlandzki półwysep za niezdatny do niczego, mówiąc, że to „państwo wiatrów i piasków". I któż wówczas mógł sobie pomyśleć, żeby z tej piaszczystej równiny na setki kilometrów można zrobić rodzące pole, pozakładać na niej lasy i sady? A jednak znalazł się taki który tego dokonał. Był to inżynier Henryk Dalgas, człowiek wielkiego rozumu i serca.

Nieraz mu się przytrafiło przejeżdżać przez te ubogie grunta i za każdym razem, powiadał on, bolało go serce za tych ludzi biednych którzy ledwo mogą żyć, mając skromny urodzaj z ubogiej ziemi. Otóż Dalgas wynalazł sposób, który wyratował ludzi z biedy. Było to w roku 1866, kiedy Niemcy odebrali im najlepszy kawał kraju.

Dalgas kilka razy przeszedł piaszczyste okolice Danii wszerz i w poprzek, przypatrzył się dobrze gruntom na wzgórzach i nizinach i przekonał się, że na wierzchu wzgórkow wszędzie znajduje się piasek z gliną, a pod spodem — twarda warstwa czarnego piasku, pomieszanego z żelazną rudą i marglem. Wówczas zrozumiał, że takie grunta można przerobić na urodzajne. Na razie począł szerzyć swoje projekta wśród ludu za pomocą gazety i książek, a później założył spółkę „Towarzystwo uprawy nieurodzajnych gruntów w Jutlandyi".

W roku 1866 Towarzystwo było bardzo niewielkie, każdy, kto życzył przyłączyć się do tej spółki, płacił najmniej 5 kor. udziału. Członkowie wybierali z pomiędzy siebie zarząd, żeby zbierać udziałowe pieniądze — wybrano 100 osób na cały kraj. Pierwszą robotą Towarzystwa było rozszerzenie wśród ludzi myśli, że piaszczyste grunta można zamienić na urodzajne pola. Później zaczęli oni zasadzać na piaskach drzewa, a kiedy się przyjęły i wyrosły, poprzerzedzali je, a ścięte zostawili na miejscu, by przegniły na gnój. Kiedy zaś cokolwiek zazieleniło się na sypkich piaskach, nabrali ludzie nadziei, że może być tam z czasem coś lepszego.

Wkrótce, patrząc na skutki pracy Towarzystwa, zaszęli włościanie do niego się garnąć. Nawet najbiedniejsi składali pieniądze i wspólnemi siłami zasadzali drzewami piaski, które się zaczynały tuż za ich wsiami; inni zasiewali leśne drzewa i mieli z tego dobry zarobek. Nie trzeba więc było chodzić na zarobki w cudze strony; ludzie pracowali na miejscu, zarabiali dobrze, a jednocześnie to rozumieli, że pracują nie dla kogoś, lecz dla siebie. Towarzystwo nie tylko zasiewało lasy na piaskach, ale kiedy znajdowali gdziekolwiek większą warstwę marglu lub prostej gliny, to zaraz przeprowadzili polową kolejkę i wozili nią glinę, gdzie tego była potrzeba; kiedy zaś trzeba było ją gdziekolwiek dalej odesłać, to rządowa kolej za bardzo nieznaczną opłatą przewoziła, by tylko dopomódz ludziom.

Ale i na tem jeszcze nie koniec! Są jeszcze w Danii okolice pokryte rośliną, która w miejscowem narzeczu nazywa się „werestk" coś w rodzaju mchu, który tylko przynosi szkodę rolnikom.

Towarzystwo Dalgasa z doświadczenia wiedziało, że jeżeli zalać te grunta wodą, to roślina ta zupełnie wyginie. Zaczęto kopać rowy po całym kraju i sprowadzać do nich wodę z małych stru-

myczków i rzeczułek, zaczęto kopać studnie i stawy i tą wodą, która się tamtędy zbierała, zalewać grunta; a kiedy woda spływała, pozostawało pole zdatne już pod zasiewy.

Nic też dziwnego, że Towarzystwo Dalgasa zaczęło się coraz bardziej rozszerzać. Po 25 latach miało ono już swego skarbnika, kontrolora, pisarza, 2 inżynierów, 8 leśniczych, 15 pomocników leśniczych, 3 dozorców, 3 rządców przy kopalniach margIu i wielu innych urzędników.

Towarzystwo to rocznie na pensyę dla pracowników i różne próby wydaje 140 tysięcy koron. Ci ludzie, którzy służą w Towarzystwie, uczą darmo włościan co i jak mają robić. Włościanie dobrze rozumieją, jaką mają korzyść z tej nauki, którą szerzy Towarzystwo. Jak dziękowali Dalgasowi za jego miłość i pracę dla ludu, niech świadczy przemowa jednego włościanina w dniu 25-lecia pracy Dalgasa. „Przedtem, powiada on, żyliśmy w głodzie i chłodzie. Ja na swoim dość dużym gruncie zaledwo mogłem utrzymać 7 krów i parę koni, a obecnie na tym samym gruncie mam 24 krowy i 5 koni. Woda, którą sprowadził Dalgas, na nasze grunta, zrobiła nas bogaczami. Przyszliśmy tutaj, na to święto, by mu podziękować za siebie, za dzieci i za wnuki nasze".

Takich włościan, którzy rozumieją jak wielką korzyść dla kraju przynosi Towarzystwo Dalgasa, jest wielu, kiedy aż 38 włościańskich spółek przysłało na uroczystość jubileuszu Dalgasa swych delegatów. Przez te spółki Towarzystwo naucza ludzi zaprowadzać wszelkie drzewa, obsadzać grunta gęsto drzewami zamiast płotu, zasadzać leśne plantacye. Na ogromnych piaszczystych przestrzeniach, na 2.000 kilometrów w zachodniej i środkowej Danii, już teraz widać pracę tych spółek, do których należy 15 tysięcy członków.

Co rok na wiosnę te spółki kupują dla swoich członków drzew za 30.000 rb. W jednym tylko 1897 roku Towarzystwo posadziło dwa i pół miliona drzew liściastych.

Rząd dopomaga tym spółkom i w ciągu 25 lat wydał im zapomogi w kwocie 200.000 koron.

50 lat temu było w Danii prawie 4 tysiące klm. kwadratowych samych piasków. Ale wzięli się do rozumnej pracy Dalgas, jego Towarzystwo i cały naród. Teraz zaprowadzono 1600 leśnych plantacyi; na 335 klm. wzdłuż wykopano 102 kanały z wodą, którą polewają teraz 20.000 morgów ziemi, uważanej przed laty za nieużyteczną, teraz tam zielenią się łąki, które kosztują około 8 milionów koron.

Kiedy dawniej podróżny widział w tym kraju tylko pustynię — teraz, gdzie stąpi, to widzi albo wioskę, która wesoło wygląda z za drzew, lub leśną plantacyę lub stada krów, koni najlepszego gatunku; a na obliczu Duńczyka nie obaczysz smutku i przygnębienia, co chodzi w parze z niedostatkiem, ale spokój i zadowolenie ze swego bytu. W oczach świta mu radość i nadzieja, że pracując tak, jak obecnie, wszystkie swoje piaski i nieurodzajne grunta przemieni w rodzące pola.

Dalgas umarł w 1894 roku. Wdzięczni rodacy postawili mu pomnik na tej ziemi, którą z pustyni zamienił w urodzajną ziemię.

Tadeusz Kościuszko.

„Co to za obraz, matko, na ścianie?
Rycerz z pałaszem w chłopskiej sukmanie,
Czworograniasta czapka na głowie,
Powiedz mi, matko, jak on się zowie?"
„Zaraz ci powiem, moje serduszko,
To jest nasz rodak, sławny Kościuszko."
„Czy żyje jeszcze?" „Umarł od dawna,
Ale cześć jego taka jest sławna,
Że dziś w obrazach ozdabia ściany
Panów i kmiotków, bo wciąż kochany,
I żaden Polak jego imienia
Już nie wypowie dziś bez wzruszenia".
„Jakie ma imię?" „On Tadeusza
Imię to nosił; piękna to dusza,
A miłosierny, jak rzadko który,
Walczył za Polskę, wrogów bił z góry.
Aż sam spadł z konia, krwią swą zalany,
Oto wiesz teraz, synu kochany".

Z hodowli bydła.

Przeciw wzdęciu.

Wiadomą jest rzeczą, że paszą, wywołującą najwięcej wypadków wzdęcia u bydła jest młoda, zielona koniczyna. Ale również i inne pasze, przechodzące także szybko w fermentacyę — podczas której wytwarza się dużo gazów, mogą wywołać wzdęcie. Aby, o ile możności uchronić swe bydło przed tą chorobą, nie powinno się bydłu dawać paszy zielonej, która już dobrze przewiędła i zagrzała się, leżąc na kupie; dalej nie należy wypędzać bydła na koniczynę z czczym żołądkiem.

Co do leczenia choroby samej, nie trzeba zbyt wiele ufać w środki wewnętrzne, jak amoniak, mleko wapienne i wiele innych, najlepiej jest jeszcze dać wzdętemu bydlęciu obok środka przeczyszczającego $1/2$ litra mocnej czarnej kawy, do której dolać można $1/4$ litra okowity.

Największą uwagę trzeba zwrócić na mechaniczno-chirurgiczne leczenie chorego zwierzęcia. Najpierw należy starać się przez włożenie powrósła ze słomy do pyska zwierzęcia spowodować odbijanie. Powrósło można posmarować dziegciem lub pianą z mydła dla wzbudzenia obrzydzenia, co sprzyja odbijaniu. Równocześnie powinno się ugniatać rękami z lewej strony zwierzęcia torbę. Tym sposobem udaje się często wydalić przez odbijanie nagromadzone w torbie gazy. Dobrze jest także podczas tej manipulacyi polewać lędźwie zwierzęcia zimną wodą lub nakryć je mokrymi workami.

Jeżeli jednak nie następuje szykie polepszenie, należy, nie zwlekają, wprowadzić rurkę przełykową. Podczas wpychania rurki do torby, jak i przedtem podczas ugniatania torby, chore zwierzę powinno stać wysoko przodem. Jeżeli bowiem zwierzę stoi równo, wtedy koniec rurki zanurza się w papkowatej zawartości torby, rurka się zatyka i gazy nie mogą uchodzić.

Jeżeli wzdęcie już jest bardzo silne i wprowadzenie rurki nie pomaga, nie należy tracić czasu na daremne próby, lecz przystąpić do przebicia torby trokarem, lub ostatecznie czystym nożem. Trokar wbija się po lewej stronie, w miejscu, gdzie jama

głodowa najwięcej się wypukla, w kierunku ku środkowi brzucha, aż po rękojeść. Następnie trokar się wyjmuje, a w ranie zostawia rurkę przez kilka godzin, aby świeżo tworzące się gazy przez nią odchodzić mogły.

Przez kilka dni po przebiciu zwierzęta powinny być trzymane na dyecie. Jeżeli rana, pochodząca od

Jak szpiegować Polaków?



Rady dla policyi pruskiej. (Patrz: „Nasze ryciny“).

trokarowania, nie zaschnie, lecz ropieje, miejsce przebite obrzmiewa i jest bolesnem, przytem zwierzę jest smutne, należy wezwać weterynarza.

Zarobki amerykańskie.

Wobec rozpowszechnianych tendencyjnie legend o bajecznych zarobkach amerykańskich, zasługuje na uwagę, oparty na statystyce urzędowej, artykuł *Przeglądu emigracyjnego*, sprowadzający do właściwej miary fantastyczne rachunki ajentów, tumaniących lud.

Przegląd przyznaje, że zarobki w Ameryce są istotnie znacznie wyższe od praktykowanych w Europie, a zwłaszcza w Polsce, a nawet w przybliżeniu nie dorównywają nadziejom emigrantów, a w ostatnich czasach mają tendencyę zniżkową.

Obecnie przybyły z Europy robotnik traci przedewszystkiem wiele czasu na znalezienie pracy; aby ją otrzymać, musi nieraz opłacać się t. zw. „bossom“, t. j. rozmaitym majstrom i dozorcom fabrycznym, z płacy swej, przy rosnącej wciąż drożyźnie, nie może czynić tak dużych jak dawniej oszczędności, zaoszczędzony zaś kosztem odmawiania sobie najpotrzebniejszych rzeczy grosz, pochłaniają często

przymusowe bezrobocia, bądź z powodu strejków, bądź wskutek lokautów, to znów z powodu niespodziewanych przesileń lub bankructw.

Dość pouczający obraz, jak właściwie przedstawiają się zarobki robotników fabrycznych w Stanach Zjednoczonych, daje świeżo ogłoszona przez dzienniki amerykańskie statystyka departamentu handlu i pracy w Waszyngtonie.

W celu dokładnego zbadania, ile robotnik amerykański średnio zarabia w rozmaitych gałęziach przemysłu, ów departament handlu i pracy rozesłał kwestyonaryusz do 216,262 najrozmaitszego rodzaju zakładów przemysłowych i handlowych. Z tego 19,679 zakładów odpowiedziało, że nie zatrudnia żadnych robotników(!?) 72,880 zakładów dało odpowiedzi tak niejasne i wykrętne, że niepodobna było z nich niczego wywnioskować. To też statystyka opiera się na dostarczonym materyale co do wysokości płacy robotniczej od 123,703 zakładów, pomimo, że i tych ogromny procent nie podał liczb rzeczywistych, starając się przedstawić swój zakład możliwie najlepiej.

W zakładach tych ogółem pracowało 3,297.819 robotników, a zatem statystyka dotyczy zaledwie 48% ogółu pracujących po fabrykach i różnego rodzaju zakładach, ogólna bowiem liczba robotników w Stanach Zjednoczonych wynosi 7,017.138. Nie są w to wliczeni robotnicy ziemni, wyrobnicy uliczni, robotnicy pracujący na roli, w ogrodach, plantacyach i t. d., gdyż dołączenie ich obniżyłoby średnią skalę płacy jeszcze bardziej.

Ze względu jednakowoż, że w ostatnich latach roboty szły słabo, większa część fabryk była zamknięta a płace zredukowane do minimum, departament handlu i pracy oparł się na roku 1905, a zatem na okresie najlepszym pod względem zarobku. Ponieważ praca jest zmienna, fabryki jedne upadają, drugie powstają, przeto biuro statystyczne uwzględniło tylko 5,400.321 osób, zatrudnionych w tym czasie mniej więcej stale. Z tego było 4,244.538 mężczyzn w wieku powyżej 16 lat, 1,065.884 kobiet również powyżej 15 lat i 159.899 dziatwy nieletniej, a już ciężko pracującej.

Z grup powyższych na podstawie dostarcznego materyału obliczono, że średni zarobek robotnika w Stanach Zjednoczonych wynosił 11 dol. 16 ct. na tydzień, robotnicy 6 dol. 17 ct., a dziecka 3 dol. 46 ct. Co zaś do mężczyzn tabela tygodniowych zarobków przedstawia się jak następuje:

zarabiało:	liczba robotników:
Poniżej 3 dol.	56.346
3 dol. do 4 dol.	57.597
4 „ „ 5 „	87.739
5 „ „ 6 „	103.429
6 „ „ 7 „	161.940
7 „ „ 8 „	196.981
8 „ „ 9 „	207.954
9 „ „ 10 „	348.312
10 „ „ 12 „	409.582
12 „ „ 15 „	450.669
12 „ „ 20 „	385.647
20 „ „ 25 „	106.046
Ponad 25 dol.	51.571

Najwyższe wynagrodzenie pobierali robotnicy rzeźbiący w kamieniu, gdyż średnio 21 dol. 68 ct. tygodniowo. Z kobiet, pracujące przy gorsetach 17 dol., dalej fotolitografowie, rzeźbiarze, mechanicy specyaliści itd., najniższe zaś — zatrudnieni w fabrykach tłuszczu i smoły, w fabrykach konserw, tytoniu, czesania konopi, w rafineryach itd.

Dane te wystarczają poniekąd do wyrobienia sobie dostatecznego pojęcia o wysokości zarobków amerykańskich. Rzeczywiście dobrze zarabiają a zarobek milionów nie przenosi dolara dziennie za pracę ogromnie ciężką i niszczącą. To też proletaryat amerykański z dniem każdym się powiększa, nędza rośnie, antagonizmy klasowe zaostrzają się, a z tem wszystkiem rośnie nie tyle do milionerów, łupiących ubogiego robotnika z ostatniego centa, co do nowo przybywających setek tysięcy z Europy, które z natury rzeczy muszą jeszcze bardziej obniżać zarobki, zamiast bowiem na rolę, pcha się to wszystko do miast, do fabryk, sprzedając się formalnie za bezcen.

KRONIKA.

Nasze ryciny. Ponieważ Polacy, nie mając w Poznańskiem sposobności do zarobku, wychodzą coraz częściej jako robotnicy do krajów nad Renem i wogóle do Niemiec, przeto w krajach tych nazbierała się wielka liczba Polaków, którzy tworzą towarzystwa, wydają własne pisma i wogóle trzymają się razem. Zaniepokoiło to już dawno władze pruskie. To też niedawno utworzyła policya pruska osobny oddział, z siedzibą w mieście Bochum, który ma Polaków nadzorować i zdawać sprawę do Berlina o wszystkiem, co przedsiębiorą. Z tego powodu jedno z pism polskich pod Prusakiem umieściło wyborny rysunek, wyszydzający szpiegów pruskich, kręcących się między Polakami. Mianowicie rysownik pokazuje, jak powinni przebierać się policyanci, aby lepiej podpatrywać Polaków. Jeden powinien przebrać się za psa i niby łasząc się, podglądać; drugi za mamkę, wiozącą w wózku dziecko: drugiego policyanta. Trzeci powinien latać balonem lub aeroplanem i t. d. Podajemy ten dowcipny rysunek, aby pokazać, jak sobie mało robią Polacy z prześladowań policyjnych, gdyż wiedzą, że ich towarzystwa i związki nie czynią nic karygodnego i że policya nic między niemi nie wyśledzi.

Siczyński. Mirosława Siczyńskiego pomieszczono w stanisławowskiem więzieniu w sali parterowej, wspólnie z 8 innymi więźniami. Zaraz pierwszego dnia zaprowadzono go do kąpieli, a następnie jeden z więźniów ostrzygł mu włosy. Potem nastąpiły oględziny lekarskie. Lekarz dr. Kopaczyński uznał Siczyńskiego zupełnie zdrowym. W rozmowie z lekarzem oświadczył Siczyński że jest zadowolony z więziennego pożywienia. Ściągnięto także z niego protokół co do jego nauk, kazano mu dać próbę pisma i pouczono o ustawie więziennej. Siczyński wyraził życzenie nauczenia się stolarstwa, na co mu pozwolono. Pozwolono mu także czytać książki historyczne. W więzieniu stanisławowskiem odwiedziła już Siczyńskiego jego rodzina i przyjaciel, znany z awantur uniwersyteckich, student M. Celiński. Matka zbrodniarza przeniosła się na stałe do Stanisławowa, gdzie mieszka w pobliżu gmachu więziennego.

Jak zabezpieczyć koła wozów od gnicia i rozsychania? Drzewo z każdym rokiem droższe, a przytem coraz trudniej dostać dobrego materyału, szczególnie na wyroby kołodziejskie, nie od rzeczy przeto będzie, podać bardzo prosty a nie drogi sposób utrwalenia kół od wozów. Chcąc przystąpić do tej czynności, trzeba się

postarać o naczynie blaszane, podłużnowate, około 60 centymetrów długie, 15—20 szerokie, a 10 ctm. głębokie. Ustawia się je na równem miejscu, a w połowie długości, na wbitych w ziemię dwóch widłowatych kółkach, umieszcza się zapomocą poprzecznego drążka koło tak wysoko, aby nie dotykając dna naczynia, swobodnie jednak obracać się dało. Po tych przygotowaniach należy wziąć najtańszej nafty i nalać do naczynia tyle, aby bez rozlewania można było koło wolno obracać; nafta w suche drzewo bardzo szybko wsiąka, tak, iż wkrótce naczynie napełnić znowu trzeba; obraca się zaś tak długo, aż więcej nafta wsiąkać nie chce. Dobrze jest dołączyć rozgrzanej kalafonii, skutek bywa jeszcze lepszy, albowiem koła, nasycone naftą i kalafonią, są daleko trwalsze, niż smarowane smołą lub kilkakrotnie malowane farbą olejną, co łatwo jest zrozumiałem, pory bowiem drzewne, nasycone naftą, nie przyjmą w siebie wody, a temsamem koło nie ulega gniciu i rozsychaniu się.

Katastrofa w kopalni. W kopalni „Jan" pod Sosnowcem w Królestwie Polskiem wtargnęła woda do szybu i zalała kopalnię; 23 górników zdołano ocalić. Wielu jednak postradało życie.

Drzymałowie. W sądach pruskich wciąż jeszcze pokutują wozy drzymałowskie, i to wóz sławnego Drzymały z Pogradowic i wóz p. Gackowskiego z Ostrowitego w powiecie świeckim. Sprawa z tymi wozami oparła się o dwa najwyższe sądy pruskie, o tak zwany sąd administracyjny i o kamergerycht. Sąd administracyjny zakazał Drzymale mieszkać we wozie. Nie było już wówczas apelacyi, i Drzymała musiał sobie szukać innego schronienia. Sprawa wozu Gackowskiego oparła się o kamergerycht i ten rostrzygnął na jego korzyść, ale nie ze względów prawa, jeno formalnych. Nie wchodził więc w to, czy Gackowski słusznie, czy niesłusznie mieszka na wozie, jeno, że sprawa z wozem jest przedawniona. Sprawa Gackowskiego toczyła się ponownie przed sądem w Grudziącu, i tenże opierając się na wyroku kamergerychtu, skargę umorzył. Mieszkał więc Gackowski we wozie dalej.

Władzom był jednak ten wóz solą w oku. Sumienie się odzywało na widok takiego mieszkania — w państwie pruskiem, a więc w państwie kultury. I oto wójt wręczył Gackowskiemu 23 lipca rozporządzenie, ażeby w przeciągu 2 tygodni z woza się wyniósł, usunął z niego ognisko, pozabijał okna, grożąc w przeciwnym razie dokonania tej pracy na koszt G. Równocześnie pod groźbą 60 mar. grzywny lub tygodnia aresztu zakazał Gackowskiemu zaopatrywania wozu w dalsze urządzenia mieszkalne. Niejeden się zapyta, dla czego wójt nie dał G. spokoju? Jemu jako i wyższym władzom chodzi o to, ażeby sprawa poszła tym razem przed sąd administracyjny, i ażeby mieć wyrok, któryby mieszkania na wozie zabronił nazawsze. Okropne!

Rabunek w pociągu. Na sybiryjskiej stacyi Krotowo napadli rozbójnicy na pociąg i zrabowszy 120 tysięcy rubli uszli, podróżnym krzywdy żadnej nie wyrządziwszy.

Cholera szerzy się w Roterdamie w Holandyi. Umarło dotąd 8 osób. 90 osób jest pod kontrolą lekarską.

Trujące mleko. W mieście Kassel w Niemczech zapadło przeszło 100 osób na tyfus po spożyciu zakażonego mleka. Kilka osób zmarło.

Kościół polski w Londynie. W Londynie znajduje się kilka tysięcy Polaków i Litwinów katolików. Mieszkają oni przeważnie w najuboższej dzielnicy Londynu, White Chapel. Przy ulicy Mercer znajduje się polska kaplica, przerobiona z jakiegoś budynku publicznego przez arcybiskupa londyńskiego; nosi ona polski napis: „Kościół Matki Boskiej Częstochowskiej i św. Kazimierza". Proboszczem jest obecnie X. Piotr Bujara, a jego prawą ręką X. Aleksander Kotula. Obydwaj należą do Zgromadzenia OO. Salezyanów i pochodzą z Górnego Śląska. Co niedzielę kościół przepełniony. Do opiekunów kościoła należy p. Henryk Loewenfeld z Galicyi, który kościołowi ofiarował harmonium i kilka cennych obrazów. Pani Pace, żona adwokata londyńskiego, założyła niezbyt dawno szkółkę dla dzieci polskich. Nieliczna garstka Polaków w Londynie marzy o wybudowaniu kościoła, ale funduszów na to jak na teraz brak.

Pszczoły i alkohol. Badacze zauważyli, iż pszczoły chętnie kąsają tych ludzi, którzy obficie używają alkoholu. Pewnem jest, iż wyszukują sobie swoje ofiary. Jeden z pszczelarzy może gołemi rękami grzebać w roju pszczół, innego pogryzłyby porządnie. Pszczoły posiadają bardzo wydelikacony zmysł powonienia i wstręt do pewnych zapachów. Być może, iż atmosfera, otaczająca alkoholika, jest dla nich bardzo nieprzyjemna.

Okręt i wieloryb. Na morzu w trzy dni po odjeździe z Nowego Jorku najechał niemiecki statek „cesarz Wilhelm Wielki" na śpiącego wieloryba i nadział go tak że ten pomimo olbrzymich wysiłków nie zdołał się odczepić. Parowiec cofnął się w końcu w tył i usunął przeszkodę. Wieloryb już jednak nie żył.

Wyrok prawdziwie pruski. Najwyższy sąd administracyjny w Berlinie, uznał polskie napisy za karygodne, choćby nawet znajdowały się w bezpośredniem sąsiedztwie niemieckich. Przebieg sprawy był następujący: Pani W., akuszerka poznańska, przeprowadzając się z domu pod Nr. 2 przy ulicy zwanej po polsku Piekary, kazała na kamienicy w której dawniej mieszkała, umieścić napis, zawiadamiający o przeprowadzce, przyczem nazwę ulicy podała w dwóch językach: Baeckerstrasse i „Piekary". Policya nakazała usunąć tablicę, bo polski napis „sprzeciwia się porządkowi publicznemu i wywołać może zamieszanie". Pani W. udała się ze skargą na drogę administracyjną, żądając zniesienia zakazu. W uzasadnieniu skargi podnoszono, że chodzi tu o napis prywatny i że w niczem nie może on narażać na szwank bezpieczeństwa ruchu na drodze publicznej. Poznański sąd Obwodowy skargę, mimo tego uzasadnienia, odrzucił, a najwyższy sąd administracyjny potwierdził wyrok powyższy, uzasadniając to w następujący sposób: „Nazwy ulic, ogłaszane publicznie, służą ku wiadomości publiczności. Stąd wchodzą w skład porządku publicznego, a jeżeli ogłasza się nazwę urzędowo niedozwoloną, sprzeciwia się to porządkowi publicznemu. Dlatego wyrok uznać należy za słuszny. W danym wypadku umieszczono bowiem napis przy ulicy samej, przez co mógłby porządek publiczny być na szwank narażony"...

Miód jako lekarstwo.

Nie bez słuszności uchodzi to za pewnik, że pszczelarze z powołania nietylko stałem cieszą się zdrowiem, ale nawet każdy z nich późnego dochodzi wieku. Wpływa na to nietylko przebywanie na świeżem powietrzu, co jest koniecznem przy wykonywaniu prac w pasiece, ale także styczność z jadem pszczelim, a nadewszystko obfite używanie miodu. Że miodu w wielu dolegliwościach i nie-

domaganiach jako też i przy ranach już przodkowie nasi jako lekarstwa używali, o tem powszechnie wiadomo.

Pożądaną więc jest rzeczą, aby lecznicze właściwości miodu każdemu były wiadome, a zarazem i sposób używania go w danych razach. Najskuteczniej działa miód przeciwko cierpieniom gardła i piersiowym i połączonym z niemi dolegliwościom, jako dodatek do innych lekarstw domowych.

I tak: kto cierpi na kaszel, ochrypnięcie i wszelkie inne dolegliwośei w gardle, ten powinien rano na czczo i wieczorem przed udaniem się na spoczynek wypijać filiżankę ciepłej herbaty, zgotowanej z kwiatów lipowych i osłodzonej miodem. Oprócz tego można używać odwaru z szałwi, osłodzonego dobrze miodem, dodawszy następnie kilka kropli czystego octu. Przy cierpieniach gardła, powstałych ze zaziębienia, używa się tego odwaru w letnim stanie do płukania w gardle po kilkanaście razy dziennie.

Przeciwko astmie używa się z dobrym skutkiem herbaty z liści fiołkowych, zaprawionej miodem. Przy cierpieniach płucnych działa skutecznie herbata z włoskiego kopru z miodem. Warunkiem jest, aby miód był czysty, na miodarce wydobywany, a herbata przy piciu o ile możności ciepłą. Należy ją pić po kilka razy dziennie.

Przy opuchnięciu migdałów i przy zapaleniu gardła najskuteczniejszym środkiem jest płukanie gardła odwarem z szałwi i miodu, Krótko powiedziawszy, wszystkie cierpienia gardłowe i piersiowe, powstające wskutek zaziębienia, usuwa się za pomocą powyższych herbat z miodem.

Również skutecznym okazuje się miód pzzy cierpieniach żołądkowych. U dorosłych usuwa herbata z piołunu, miodem zaprawiona, wiele boleści w żołądku, wzmacnia żołądek i przyspiesza trawienie. Przy zatwardzeniu sprowadza rozwolnienie odwar liści senesowych z miodem, którego się używa po kilka razy dziennie aż do skutku. U dzieci skutkuje w tym samym przypadku klejek rumbarbarowy z miodem albo też już odwar włoskiego kopru z miodem.

7

BLIZNA.

(Ciąg dalszy).

Wysoki mężczyzna w czapce mundurowej szedł właśnie przez ganek, wyłożony kamiennemi płytami.

— Czy nie mógłbym pomówić z panem słów paru, panie Bradstreet — spytał Holmes.

— Bardzo chętnie służę. Proszę do mego pokoju.

Była to mała izdebka, urządzona po biurowemu, z ogromną księgą na stole i telefonem, wystającym że ściany. Inspektor usiadł przy pulpicie.

— Czem mogę panom służyć? — spytał.

— Przyszedłem w sprawie tego żebraka, Beenego, no, wiesz pan przecież, człowieka, który jest podejrzany o współudział w zamordowaniu Neville’a de St. Clair.

— Tak jest, sprowadzono go tutaj i będzie dziś dalej przesłuchiwany.

— Czy siedzi spokojnie?

— Nie sprawia nam kłopotu. Ale brudna bestya! No!

— Brudny?

— Zaledwie go można nakłonić do tego, aby sobie mył ręce. Gębę ma brudną, czarną jak kominiarz. No, ale gdy raz dostanie porządną kąpiel, to będzie czysty. Zgodziłbyś się pan ze mną, widząc go, że potrzebuje kąpieli.

— A można go zobaczyć?

— Naturalnie. Bardzo łatwo. Chodź pan tylko. Torbę możesz pan zostawić na stole.

— Ej, nie, dziękuję, wolę wziąć ją ze sobą.

— Jak pan sobie życzy. Tędy, proszę.

Odsunął zasówkę w górnej połowie drzwi i spojrzał do środka przez otwór.

— Spi — rzekł. — Teraz mogą go panowie widzieć doskonale.

Zbliżyliśmy się i spojrzeli przez szybkę. Więzień spał, z twarzą zwróconą ku drzwiom, oddychając powoli i ciężko. Był to człowiek średniego wzrostu, szkaradnie odziany, jak przystało na żebraka; przez dziury w surducie wyglądała niebieska koszula. Inspektor miał racyę, mówiąc, że żebrak jest brudny, ale nawet gruba warstwa brudu, pokrywająca mu twarz, nie była w stanie ukryć jego wstrętnej brzydoty. Blizna przedzielała mu twarz od oka do podbródka i podciągnęła, zrastając się, wargę górną do góry tak, że trzy zęby były widoczne; wyglądało to, jakgdyby żebrak ciągle się uśmiechał. Czoło i oczy zasłaniał mu kołtun rudych włosów.

— Adonis? Co? — spytał drwiąco inspektor...

— W każdym razie potrzeba go umyć — rzekł Holmes — a że przewidywałem to, więc pozwoliłem sobie przynieść, co potrzeba.

Otworzył torbę i wyjął z niej ku memu wielkiemu zdziwieniu ogromną gąbkę, taką, jakiej się używa do kąpieli.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się inspektor. — Ciekawy z pana człowiek, panie Holmes!

— Gdybyś pan był teraz tak łaskaw otworzyć drzwi, ale bardzo po cichu, to zobaczysz pan, że wkrótce zrobi zupełnie inną minę!

— No, zaszkodzić mu to nie zaszkodzi — zakonkludował Brandstreet. — W takim stanie nie przynosi Boone zaszczytu naszemu więzieniu.

Włożył klucz w zamek i weszliśmy po cichu.

Żebrak obrócił się na drugi bok, lecz wkrótce zasnął znowu. Holmes podszedł do kubła z wodą, zanurzył gąbkę i następnie przetarł nią dwa razy twarz żebrakowi.

— Panowie! — zawołał Holmes głośno — Pozwólcie, że was przedstawię panu Neville St. Clair z Lee w hrapstwie Kent.

Nigdy w życiu nie zaznałem podobnego widoku. Twarz więźnia złaziła poprostu pod gabką jak kora z drzewa. Zniknął brunatny kolor brudu, zniknęła ohydna szrama i wykrzywiona górna warga która całej twarzy nadawała odstręczający wyraz. Jednem szarpnięciem zdarł Holmes z głowy więźnia rude, kędzierzawe włosy; przed nami na pryczy siedział blady smutny, dystyngowany człowiek o sympatycznej twarzy, brunet o delikatnej cerze, który w rozespaniu przecierał sobie oczy, nie mogąc dojść, co się z nim dzieje. Nagle przyszedł do przytomności i zobaczywszy co się stało, krzyknął głośno, kryjąc twarz w dłoniach.

— Wielki Boże! — zawołał inspektor. — Ależ to istotnie St. Clair, Poznaję go z fotografii!

Więzień obrócił się do nas ze spokojem człowieka, który zdaje się na swój los.

— Ha, dobrze — rzekł — A teraz powiedzcie mi, proszę o co jestem oskarżony?

— O to, że zamordowałeś pan Nevilla St. Clair, ale zaiste, teraz trudno pana o to posądzić, chyba żeby sąd zechciał oskarżyć pana o usiłowane samobójstwo. — Inspektor zaśmiał się znowu. — Dwadzieścia siedm lat jestem w służbie, a jeszcze nigdy nie zdarzyło się nic podobnego.

— Więc skoro jestem Nevillem St. Clair, to rzecz jasna, że nie popełniłem żadnego morderstwa i że trzymają mnie tu bezprawnie.

— Nie zaszło tutaj morderstwo, lecz poprostu wielka pomyłka — zabrał głos Holmes — Lepiej byłbyś pan zrobił, ufając swej żonie.

— Nie zrobiłem tego dla żony, tylko dla dzieci, zawołał więzień. — Na Boga! Nie chciałem, aby się wstydziły własnego ojca! Boże, co za hańba! Cóż teraz począć! (Dok. nast.)

Rolnicy! Rozszerzajcie „Rolę“ wśród Znajomych i Przyjaciół! Piszcie komu wysyłać numery na okaz!

CENY ZBOŻA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 7 września (wtorek) 1909).

Na targu dzisiejszym ceny utrzymały się prawie niezmienione, na co wpłynęło słabe zaofiarowanie towaru a lepsza chęć kupna, tak, że niższe notowania giełdy peszteńskiej odtąd u nas się nie odmieniły.

Sprzedawano: pszenicę białą od 13·00—13·50 kor., czerwoną od 13·00—13·40 kor., żyto 9·80—10·50 kor., żyto targowe od 8·70—9·20 koron, jęczmień 8·30 do 8·60, owies na paszę 8·10 do 8·40 kor., nowy węgierski 00·00 do 00·00 kor., kukurudzę starą 9·20 do 9·30 koron, nową 0·00—0·00 koron, kukurudzę Cinquantino 10·30—10·50 kor., groch zwyczajny 12·00 do 13·00 kor., groch Victoria 14·00—16·00, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 00·00—00·00 kor., bobik 0·00—00·00 kor., rzepak 13·80—14·30 kor., otręby pszenne 6·10—6·20, otręby żytnie 6·30—6·40, koniczyna nasienna czerwona 00·00—00·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Komunikat Biura handlow. dla eksportu bydła

c. k. Tow. Rolniczego w Krakowie, ul. św. Jana 2.

Ceny w koronach za 100 kg żywej wagi.

Wiedeń, dnia 6 września 1909 targ na bydło; 7 „ „ „ świnie

Rodzaj	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	3340	84—90	74—82	60-66
Buhaje	989	72—76	60—70	—
Krowy	694	70—78	54—68	—
Bydło z paszy .	795	42—76	—	—
Bydło ost. sorty	1585	30-48	—	—
Jałownik	—	—	—	—
Cielęta bite . . .	2216	124—152	96—112	—
Świnie węgier. .	17358	124—127	104—120	—
„ **galic. I.**		—	—	—
„ **galic. II.**		96—118	—	—
Knury czyszczone i maciory tuczne			—	96—112

Uwagi: Spęd bydła o 413 sztuk większy. — Ceny krów i wołów lepszej sorty o 1 kor. wyższe, buhai i bydła ostatniej sorty o 2—3 kor. niższe. Ceny cieląt o 4—6 kor. wyższe.

Świń młodych o 850 sztuk mniej – węgierskich o 880 więcej. Ceny węgierskich zeszłotygodniowe, ceny młodych od 2—4 kor. wyższe.

Ceny w koronach za 100 kg. żywej wagi.

Kraków, dnia 3 września 1909 targ duży; 7 „ „ „ mały

Rodzaj	Data	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	3/9	225	56—64	56—64	—
	7/9	163	150—280	150—280	za sztukę
Buhaje	3/9	98	56—64	56—64	—
	7/9	63	64—180	64—180	za sztukę
Krowy	3/9	141	52—54	52—54	—
	7/9	25	92—160	92—160	za sztukę
Jałownik	3/9	165	44—63	44—63	—
	7/9	62	50—150	50—150	za sztukę
Cielęta	3/9	228	24—72	24—72	—
	7/9	172	21—78	21—78	za sztukę
Owce	3/9	37	10—22	10—22	—
	7/9	15	16—20	16—20	za sztukę
Świnie żywe . . .	3/9	257	—	—	—
	7/9	562	110—128	110—128	—
„ **bite** . . .	3/9	—	160—174	160—174	—
	7/9	—	150—176	150—176	—

Uwagi do targu z dnia 3-go września 1909 r.: Spęd bydła większy niż w poprzednim tygodniu, za woły płacono o 2 kor. niżej, buhaje, krowy i jałownik po cenie zeszłotygodniowej. — Ceny świń zeszłotygodniowe.

Uwagi do targu z dnia 7-go września 1909 r.: Spęd liczniejszy niż zwykle — sprzedaż bydła na sztuki, świń na bitą wagę — ceny świń niższe.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.